

NAS TEPCY

Napisał: Piotr Ponaczewny

Brudna kropla zimnej wody znów kapnęła mi na czoło. To już dwunasta – liczyłem, cóż mi innego pozostało.

Mur piwniczny drgał co pewien czas. Na górze wybuchały zbiorniki z paliwem – widocznie w pobliżu paliła się stacja benzynowa. Przy większych wstrząsach zetlały na pył, niegdyś ozdobny tynk sypał się jasną mgiełką na połyskujący cylinder profesora Trillmana. Za przeciwległą ścianą coś zabulgotało przeciągle, zawyło i dał się słyszeć głośny trzask. W rogu pojawiła się szybko ciemniejąca plama – chyba pękła rura.

– Są już chyba gdzieś blisko – mruknął profesor – Mam już tego dość, wychodzę!

– Pan chyba zwariował Trillman – powiedziałem przysuwając się do niego. – Wyjście stąd to pewna śmierć. Nawet nie dowie się pan, kto tak pana urządził.

– Czy to nie wszystko jedno, zginać teraz czy trochę później? Na halucynacje nie ma antidotum, a przecież kiedyś wyjść stąd będziemy musieli. Posłuchaj, zwiariowany optymisto: jesteśmy w matni, w sytuacji absolutnie bez żadnego wyjścia. Będziemy tu siedzieli jeszcze dwa, trzy dni, może więcej i cóż z tego? Nikt nam z pomocą nie przyjdzie, bo z pewnością nikogo przy zdrowych zmysłach na górze już nie ma. Nie wiadomo nawet, czy pozostał jeszcze ktoś żywy. Wróg wciąż atakuje, my zaś nie wiemy nawet kim

Ilustrował: Przemysław Woźniak

on jest. Znamy tylko jego halucynogenną broń i to też niezbyt dobrze.

– Ale przecież my... – próbowałem zaoponować, lecz profesor przerwał mi niecierpliwym machnięciem ręki.

– Nie bądź pan dzieckiem, Trix. Czy nie zdaje pan sobie sprawy, do czego może być zdolne dwa miliony ludzi w czasie zbiorowej halucynacji? A całe nieszczęście w tym, że każdemu bzdurzy się co innego. Właściwie to nawet nie mam pewności, czy nie jest pan tylko wytworem mej zaatakowanej wyobraźni, przyjacielu Halucynie.

Umilkł, gdyż zasapał się z lekka. Uszczyptałem go w łydkę dla sprawdzenia. Podskoczył obrażony.

– Szczypanie i ból też można sobie wyhalucynować – mruknął pod nosem. Widocznie nie wyobrażał sobie mnie jako tworu materialnego. Milczeliśmy. Trillman siedział odwrócony do mnie plecami, wyrażając swą postawą zupełną obojętność wobec mej osoby.

Przy jednej z mocniejszych detonacji goła żarówka ucepiła przy suficie zamrugała kilka razy, po czym zgasła. Piwnicę zapelnił mokry półmrok. Za ścianą dały się słyszeć jakieś urywane lepkie dźwięki, skrobanie, coś ciężkiego spadło z łoskotem, napełniając korytarze głuchym echem. Syczało coś cicho, jakby powietrze uchodziło z pękniętego ba-

lonu. Poczulem nagle lekki zawrót głowy. Obraz piwnicy zafalował, po czym zamglili się. Popiskiwało coś cichutko w kątach, skrobało, goniło się, uciekało. Zauważyłem nagle ze zgrozą, że z cylindra Trillmana wyrastają powoli pięknie rozkraczające się rogi. To one tak szumiały. Chciałem krzyknąć, lecz z gardła zawyło przeciągłe. Trillman odwrócił się powoli w moją stronę. To nie był profesor, miał ohydnie wykrzywioną twarz wampira. Śmiał się przerażająco. Poderwałem się gnany strachem i obrzydzeniem. Biegłem na oślep, byle dalej. Gonił mnie – powtarzany przez echo – szyderczy śmiech Trillmana – wampira. Przebiegłem przez nisko sklepione korytarze i mroczne salki z zastałym, smrodliwym powietrzem. W pewnej chwili straciłem orientację, nie zważając jednak na to wciąż biegłem, byle dalej od przerażającego, budzącego mdłości widoku.

Wpadłem do nisko sklepionego korytarza. Wilgoć kapała cichymi kroplami, rozbijając się o śliską kamienną posadzkę. Gnałem dalej bez wytchnienia. Coś podcięło mi nogi, padłem, rozbijając sobie nos o podłogę. Poczulem pod sobą jakiś poruszający się, obły, miękki kształt. Spód mego brzucha spoglądały okrągłe, pełne cierpienia, mądre oczy szczura. Poderwałem się z obrzydzeniem. Zwierzątko czmychnęło kulejąc, zatrzymało się w rogu i zaczęło przyglądać mi się z wielką natarczywością. Jego wzrok przeszywał mnie na wylot, grzebał w najgłębszych partiach mózgu, docierał do podświadomości, odczytywał najskrytsze myśli.

Poczulem, że lecę w niebieskiej mgłę, nie, w zielonej. Jakies cienie majaczyły obok, zbliżały się, opłatywały mnie. Tańczyły, jak w zwolnionym tempie łącząc się, to znów sennie rozdzielając. Znów niebiesko. Ja nie lecę, ja płynę, a cienie to ryby. Wielkie, oślizgłe, z paszczami poruszającymi się w rytm najnowszego przeboju Petty Dry „Nakarm mnie swoją uludą”. Skąd ta muzyka? Jej rytm wwierca się w czaszkę, szarpie konwulsyjnie członki! To bongosy i tam-tamy wałą chaotycznie przekrzykując się! Ucichło...

Przepląnąłem przez ogromną bramę z granitu, oblepionego głębinowymi małżami i ślimakami w długich zakręconych skorupach. Pojaśniało. Stałem na łące, a trawa szeptała: – Weź mnie, weź.

Zielone pędy, chyba groszku lub fasoli, delikatnie głaszcząc opłatały moje nogi. Zdźbła układały się w sprośne wzory zapraszając do siebie. Miały w sobie jakąś przemożną, przyciągającą siłę. Ogarnęła mnie fala mdłego, ciepłego powietrza.

– Chodź, chodź – szeptała trawa – Tylko ja dam ci ukojenie. Tylko ja dam ci radość i zapomnienie.

Zieleń czepiała się koszuli i łaskotała lubieżnie. Zaśmiałem się histerycznie. Walczyłem z przemożną chęcią rzucenia się w wir zielonego piekła.

– Neeee! – krzyknąłem. – Neeee! Nie chcę!

Otoczenie przyblakło, zszarzało, zawyły wiatr. Zdźbła zaczęły kurczyć się, schnąć, rozpadać na proszek. Strzepnąłem z koszuli białawy pył. Stałem w piwnicy. Szczur zniknął. Z dala dochodziło bulgotanie.

– Trillman! – krzyknąłem – Jest pan tu?!

– Dlaczego używa pan podniesionego głosu? – usłyszałem z tyłu. Odwróciłem się gwałtownie. To był szczur. Stał na dwóch łapach, trzymając zapaloną latarnię gazową. Miał czerwoną kurtkę, w której brakowało dwóch guzików.

– Bzdura – mruknąłem – Zwid.

– Nic błędniejszego – odpowiedział – Przecież stoję przed panem.

– To jest niemożliwe – odparowałem – Szczury nie mówią ludzkim głosem, a tym bardziej nie noszą czerwonych kamizelek i to do tego bez guzików.

– Trudności materiałowe, rozumie pan. Ciężkie czasy, wojna, nie ma głowy do bzdur.

Za drzwiami zaszumiało, coś upadło z hurkotem, dało się słyszeć soczyste przekleństwo i do pomieszczenia wszedł chwiejnym krokiem profesor Trillman.

– Gdzie pan ma rogi? – spytałem.

– Są mi niepotrzebne – odrzekł – Zresztą lamy nie mają rogów.

Powiedział to z miną człowieka wiedzącego co mówi, więc nie próbowałem oponować; już niczemu się dziwiłem.

Rozejrzałem się po piwnicy. Szczura już nie było, tylko Trillman tupał kopytkami po betonie.

– Czy to nigdy się nie skończy? – pomyślałem – Trzeba coś poradzić na wszechobecne halucynacje.

Podszedłem do profesora i z całej siły uderzyłem go w twarz; aż poszło echo. Oddał mi, niewdzięcznik.



Wszystko jakoś się zmieniło, nie umiałem jednak powiedzieć na czym ta zmiana polegała. Nadal znajdowaliśmy się w piwnicy. Na górze uspokajało się widocznie, gdyż nie dochodził stamtąd żaden dźwięk; ustały również wstrząsy. Natomiast z korytarza przybliżały się jakieś głosy. Najpierw nie rozróżniałem słów, lecz wnet sens rozmowy stał się dla mnie zrozumiały.

– Ależ generale, należy zachować ten gatunek – mówił grubszy głos.

– Jest nam niepotrzebny, jest wręcz niebezpieczny – odpowiedział cieńszy.

– Po odpowiedniej tresurze, przydadzą się do bardziej niebezpiecznych prac. Są przecież dość inteligentni i sprawni manualnie. Poza tym przydadzą się w ZOO, w cyrku, czy też wielu innych miejscach.

Uradowany perspektywą szybkiego ocalenia, wybiegłem na korytarz. To co zobaczyłem zaparło mi dech w piersiach i sparaliżowało członki. Kilka kroków ode mnie szły paradnie ubrane dwa okazałe szczury. Przystanęły również zaskoczone.

– O! Jeszcze jeden! – wykrzyknął niższy – Bierzemy żywcem.

Zdrętwiały z przerażenia, zobaczyłem – wyciągającą się w mój kierunku – szczurzą łapę, trzymającą narzędzie, podobne do małokalibrowego pistoletu. Padając usłyszałem – jak przez mgłę – głos wyższego:

– Ładna sztuka, major się ucieszy. Swoją drogą ciekawy przypadek. Uchował się, widocznie odporny na halucyny. Nie przetrzymał jednak...

★ ★ ★

Profesor Trillman siedzi w celi obok. Rozmawiamy czasami ze sobą, gdy szczury-wartownicy zasną na posterunku. Przy listwie podłogi mamy skrytkę kontaktową – dziurę, którą profesor wykrobał szczyrzykiem, przemyconym w cylindrze. Szczury szkolą go do występów w cyrku. Będzie miał dobrze.

Piszę na papierze skradzionym w kancelarii Starszego Podszczurzego, z którym jestem w dobrych stosunkach. Kończę, gdyż piszę już skrawkiem ołówka; zresztą zaraz przyniosą lichy obiad, a potem zwykła codzienna tresura. Będę pracował w kopalni...